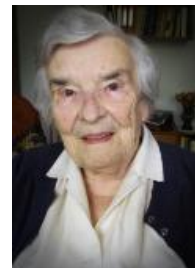


## MARIA RZEŹNICKA

ur. 1927; Wieluń



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, II wojna światowa
Słowa kluczowe	II wojna światowa, okupacja niemiecka, Lublin, Aleje Raclawickie 6, sąsiedzi, rodzina żydowska, Knollowie

### Losy rodziny Knollów wysiedlonej z Górnego Śląska

Pan Zalc przyszedł do nas na początku chyba października 39 roku i powiedział, że jest taka sprawa. Że Niemcy przyłączyli Górny Śląsk do Rzeszy i stamtąd kto mógł to uciekał. Między innymi uciekały rodziny żydowskie, ale i polskie oczywiście, stamtąd i z poznańskiego to było mnóstwo tych uciekinierów. Z tamtych okolic było mnóstwo. Mój dziadek też uciekał stamtąd, był górnikiem przecież. I powiedział, że są ludzie, którzy potrzebują mieszkania w Lublinie, że oni już przyjęli jedną rodzinę, ale już na więcej nie mają miejsca, czy myśmy by nie chcieli przyjąć drugiej rodziny żydowskiej, którzy muszą się gdzieś mieszkać. No więc mama powiedziała, że tak, oczywiście, jak trzeba to trzeba, nie ma powodu odmawiać. Więc oni przyszli, zamieszkali u nas. To była rodzina... ojciec, taki drobny, szczupły, bardzo taki dystyngowany pan, i żona, taka gruba dosyć, nieprzyjemna, która zawsze wszystko miała za złe i kręciła na wszystko nosem, i dwie córki. Jedna była Zosia, starsza, bardzo ładna blondynka, która nie była podobna na Żydówkę i młodsza, już nie pamiętam jej imienia, ale typowa Żydówka. W dodatku, nie dość że czarnowłosa, ale jeszcze z takim dość silnym zarostem pod nosem, miała taki wąsik. I ona siedziała w domu, a ta Zosia wychodziła. I wtenczas Żydzi musieli nosić żółtą gwiazdę Dawida na lewym ramieniu. Czy na prawym? Nie, chyba na lewym. I ona, ta Zosia, miała taki elegancki płaszcz zimowy z dużym kołnierzem. I ona zawsze zarzucała go tak, żeby nie było widać tej gwiazdy. Chodziła, chciała chodzić do kawiarni. Kawiarnie był nur für Deutsche, ale ona tam się nie bała wejść i zawsze pani, oni się nazywali Knollowie, ta pani Knoll zawsze mówiła: „Oj Zosza, Zosza, ty się doigrasz!” A Zosia mówiła: „Mama, ja uważam!” I chodziła. No a później wyjechali od nas jak utworzyli getto w Lublinie. Oni nie chcieli pójść do getta lubelskiego i mówili, że mają przyjaciół w Warszawie. Mówili: „W Warszawie jest nas pół miliona. Co nam zrobią?” Takie było wtenczas przekonanie. „Nas jest tak dużo, jak będziemy wszyscy razem to nic nam nie zrobią oczywiście”. Pojechali do tej Warszawy. A jeszcze przedtem to jak mieszkali u nas to przychodził stale do nich jakiś oficer niemiecki. Ale nie ten sam. Za każdym razem

inny. Tylko za każdym razem żądał pieniędzy. I oni mu dawali. Oni mu te pieniądze dawali. Za każdym razem ktoś inny, bo on wysyłał znajomych. I ci Niemcy przychodzili po ten haracz dość regularnie. Pamiętam taki moment, myśmy się zżymali okropnie na to, bo ta pani Knollowa później mówiła: „No znowu nas ograbili. My już nic nie mamy”, i narzekała okropnie. A miała u nas takie duże walizki z rzeczami, to chowała u nas, bo w tamtym pokoju było ciasno, to był maleńki pokoik. No więc to u nas się mieściło i kiedyś wiem, że mamie bardzo przykro było, bo pani Knoll zajrzała do tej walizki i powiedziała: „Oj! Ktoś tu szukał!” W każdym razie tak, czy innymi słowami, powątpiewała, czy ktoś się nie dobiera do jej walizek. Mama się poczuła strasznie dotknięta. I ten pan Knoll bardzo był taki, że tak powiem, dystyngowany starszy pan, przyszedł, strasznie mamę przeproszał. Strasznie, wielokrotnie przeproszał za tę niezręczność, za żonę, że ona tak powiedziała, że to, no w każdym razie dobrze. W każdym razie ten pan Knoll stale przesiadywał, bo oni stale mieszkali u nas, tam tylko chodzili nocować w tym małym pokoiku, no to ten pan Knoll stale z moim tatusem przesiadywał na kanapie i rozmawiali o wszystkim, o polityce, to o tym, to o tym, i ten pan Knoll zawsze mówił: „Panie Zarębski, panie Zarębski, pan będziesz u mnie po wojnie dyrektorem”. Tatuś się śmiał, mówił: „Ależ ja się nie znam”, bo to był przedwojenny właściciel huty jakiejś, bogacz. Mówi: „Ja się nie znam na przemyśle, jestem nauczycielem”. „Co się pan masz znać, pan będziesz miał ludzi od tego co się znają. A pan będziesz dyrektorem”. No tatuś się śmiał z tego oczywiście, ale to był wyraz ich wdzięczności, że tak powiem. I później jak wyjeżdżali do tej Warszawy to okazało się, że jeszcze mają coś cennego z sobą, mieli mnóstwo pieniędzy, a w piwnicy u nas to były schowane ich perskie dywany. Tak. Przywieźli je ze sobą nie wiem po co. I jeszcze zostały te walizki. Ona tam z tych walizek tylko wyjęła to co potrzebne, a ta reszta została u nas pod łózkami jeszcze, nie wiem, bardzo długo. Jeszcze tatuś ich odwoził do Warszawy, była taka umowa, że pojedzie w innym przedziale, a mamusia mu uszyła taki pas na siebie, w tym pasie płóciennym były utkane te ich dolary i tam inne precjoza co tam mieli. Nie wiem co tam było, bo przecież tego nie widziałam jak tam ona, pani Knollowa, to zapakowała. Tatuś to wziął na siebie pod marynarkę. Rzeczywiście była taka umowa, że w Warszawie będzie czekał, aż oni przejdą kontrolę, bo oczywiście przy wyjściu była niemiecka kontrola. Więc jak oni przeszli szczęśliwie przez tą kontrolę, to dopiero za nimi tatuś poszedł, już bez strachu, że go tam zatrzymają, dowód przecież miał, kenkartę miał. No i w jakiejś tam najbliższej bramie przekazał im te precjoza, te skarby. No i wrócił, oni poszli dalej. Jeszcze później przychodziła do nich ich znajoma, którą zresztą znaliśmy, bo ich odwiedzała i ona przychodziła pierwszy raz z karteczką od nich, żeby wydać jej takie a takie rzeczy z tych, które u nas zostawili jeszcze, jakieś ubrania, jakieś rzeczy, to były ubrania. Kilka razy przychodziła. Już nie pamiętam jej nazwiska, kilka razy przychodziła i zawsze jak przychodziła, to mamusia pytała kiedy zabierze te perskie dywany. No i ona w końcu je zabrała rzeczywiście. Gdzieś na sprzedaż, po prostu oni chcieli, żeby ona to sprzedawała i im przekazywała

pieniądze, no. Przecież im perskie dywany nie były potrzebne w getcie w Warszawie. W każdym razie myśmy się trochę obawiali, bo to było wtenczas tak, że kto przechowuje Żydów, ewentualnie rzeczy żydowskie, jest winien karze śmierci. Ponieważ ich mieszkanie u nas było wszystkim wiadome w okolicy, w kamienicy, więc przypuszczam, że wiedzieli także, że w piwnicy są też ich rzeczy i myśmy się trochę bali czy ktoś nie doniesie na nas, że tu są jakieś cenne żydowskie rzeczy. Ale nie, nic takiego się nie zdarzyło, ale myśmy mieli troszeczkę, powiedzmy, dyskomfort, że to może się tak zdarzyć. No mogło, ale w końcu to wszystko, że tak powiem, przeszło w ręce tej pośredniczki. Nie wiem kto to był, nie wiem jak się nazywała, wiem, że kilka razy przychodziła.

Ta Zosia i ta druga ich córka były starsze ode mnie. Ja miałam wtenczas 14 lat, a one miały po 20. To była za duża różnica wieku. Wiem, że ta młodsza, czy starsza, już nie wiem, nie ta Zosia, tylko ta druga, której imienia w tej chwili nie pamiętam, to siedziała stale w naszym pokoju i tam zawsze jeszcze pamiętam ją jak stoi, grzeje się przy piecu, bo to był piec taki na dwie strony. Paliło się od strony ich, a u nas była ciepła ta jedna ściana tego pieca. Więc ona tam stała. No rozmawialiśmy tak, ale to nie było na zasadzie koleżeńskiej, bo ja byłam dziecko wobec nich, to były dorosłe dziewczyny.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2016-09-05, Warszawa
<b>Rozmawiał/a</b>	Wioletta Wejman
<b>Transkrypcja</b>	Maria Radek
<b>Redakcja</b>	Maria Radek
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"